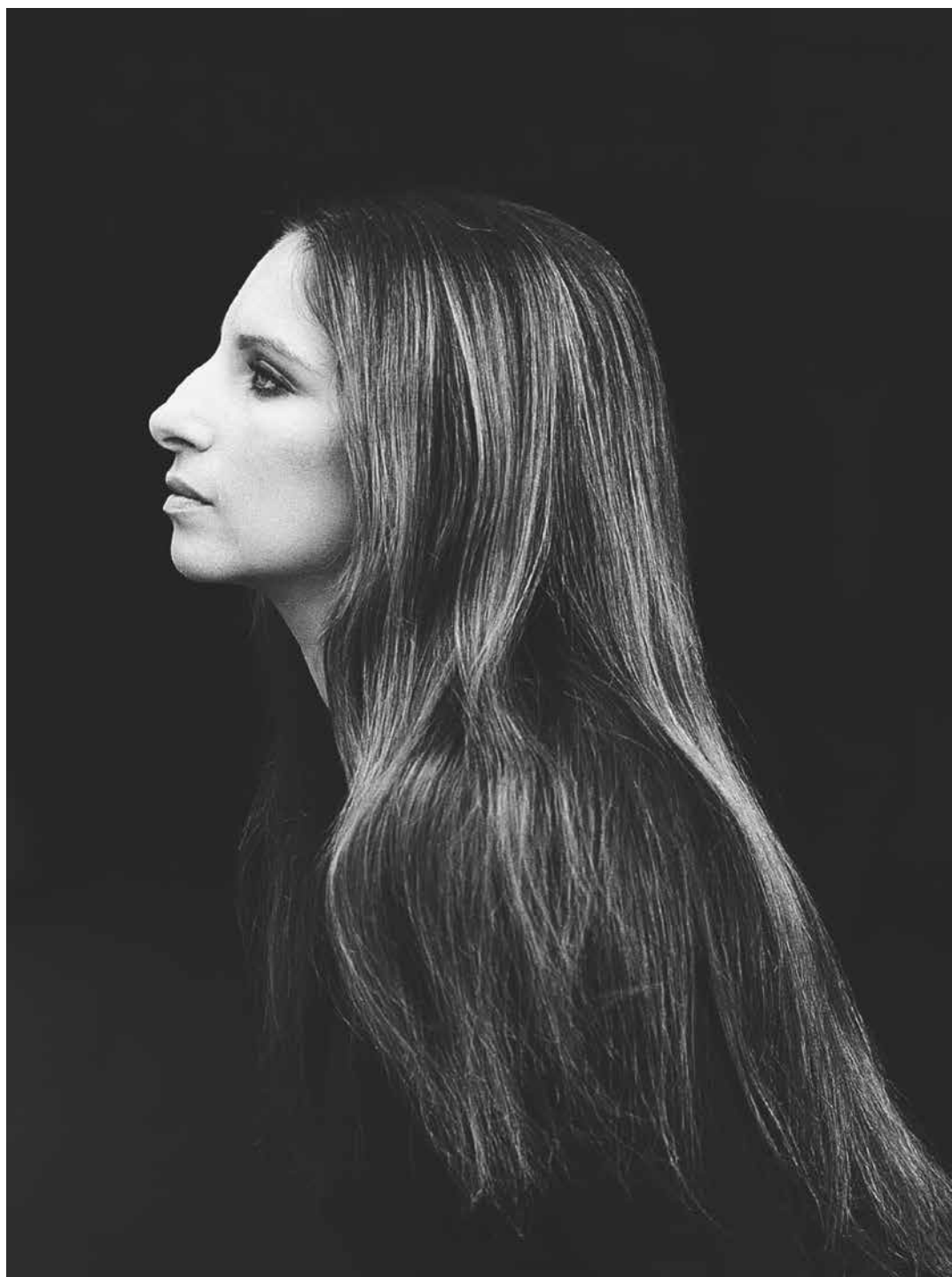


Na imię mam

Barbra



Na imię mam
Barbra
Barbra Streisand

PRZEŁOŻYLI
KATARZYNA BAŻYŃSKA-CHOJNACKA
PIOTR CHOJNACKI

PIOSENKI PRZEŁOŻYŁ
DANIEL WYSZOGRODZKI

MARGINESY

My Name Is Barbra

COPYRIGHT © 2023 BY Barbra Streisand

This edition published by arrangement with Viking,
an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Katarzyna Bażyńska-Chojnacka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Książkę dedykuję ojcu, którego nigdy nie poznałam...
oraz matce, którą znałam

Spis treści

Prolog ~ 13

1. Pulaski Street ~ 19
2. Czemu nie mogłam tego zagrać? ~ 31
3. Ten wieczór może zmienić moje życie ~ 51
4. Bon Soir ~ 74
5. Miss Marmelstein ~ 95
6. Te głupkowate piosenki ~ 114
7. Wszystko po mojej myśli ~ 128
8. Zabawna dziewczyna na Broadwayu ~ 158
9. *People... People Who Need People* ~ 190
10. Powrót do dzieciństwa ~ 194
11. *Je m'appelle Barbra* ~ 204
12. *Gotta Move* ~ 208
13. A co, jeśli nikt nie przyjdzie? ~ 229
14. Zabawna dziewczyna w Hollywood ~ 236
15. „Witaj, mój piękny” ~ 262
16. Puszka Pandory ~ 269

17. *Hello, Dolly!* ~ 276
18. Brando ~ 287
19. Daisy i Melinda ~ 302
20. „Ile śpiewających prostytutek znasz?” ~ 315
21. Premier ~ 322
22. Komedia omyłek ~ 330
23. Miejsce kobiety ~ 349
24. *Tacy byliśmy* ~ 364
25. *With a Little Help from My Friends* ~ 396
26. Co ja sobie w ogóle myślałam? ~ 402
27. *Zabawna dama* ~ 416
28. *Lazy Afternoon* ~ 427
29. *Classical Barbra* ~ 434
30. *Narodziny gwiazdy* ~ 439
31. Nie wierz we wszystko, co czytasz ~ 470
32. Wojna płci ~ 480
33. *Enough Is Enough* ~ 489
34. *Guilty* ~ 492
35. *Papa, Can You Hear Me?* ~ 499
36. Reżyserka *Jentl* ~ 532
37. „Nie zmieniaj ani klatki” ~ 566
38. *The Broadway Album* ~ 587
39. *One Voice* ~ 612
40. Każdemu wolno kochać ~ 619
41. *Wariatka* ~ 633
42. Niczego nie żałuję ~ 653
43. Zakochana w książce ~ 660
44. Na planie *Księcia przypiływów* ~ 673
45. Przebaczenie ~ 698

- 46. *Just for the Record* ~ 715
- 47. Polityka ~ 740
- 48. Kto powiedział, że już nigdy nie zaśpiewam na żywo? ~ 755
- 49. Moja matka ~ 774
- 50. Virginia ~ 782
- 51. Facet o imieniu Karol ~ 789
- 52. Artysta jako obywatel ~ 807
- 53. *Miłość ma dwie twarze* ~ 822
- 54. Jim ~ 838
- 55. *Timeless* ~ 861
- 56. Dać coś od siebie ~ 873
- 57. Jak bardzo cię kocham? ~ 886
- 58. Starzy przyjaciele ~ 907
- 59. Powód, by śpiewać ~ 920

Epilog ~ 934

Podziękowania ~ 940

Źródła fotografii ~ 943

Źródła cytatów ~ 948

Prolog

Sympatyczny mrówkojad”?

Tak oto przedstawiono dziewiętnastoletnią mnie w pierwszej recenzji mojej zawodowej roli. Grałam nieszczęśliwie zakochaną sekretarkę w *I Can Get It for You Wholesale* i mogłam zrozumieć to porównanie... do pewnego stopnia.

W kolejnym roku zostałam nazwana „kwaśną persymoną”, „wściekłym chomikiem”, „krótkowzroczną gazelą” i „wymemlaną fretką”.

Uch. Naprawdę tak dziwnie wyglądałam?

Zaledwie rok później, gdy grałam w swoim drugim przedstawieniu na Broadwayu, *Zabawnej dziewczynie*, twarz miałam dokładnie taką samą, ale teraz porównywano mnie do „starożytnej wyroczni”, „Nefretete” i „babilońskiej królowej”. Te określenia podobały mi się dużo bardziej. Najwyraźniej miałam też „faraoński profil i oczy skarabeusza”, co było komplementem, jak sądzę, chociaż muszę przyznać, że jedno z tych oczu czasem zezowało... no i najwyraźniej faraon także miał wielki kinol. Ludzie ciągle mi powtarzali: „Zrób coś z tym”. (Założę się, że faraonowi tak nie mówili).

Czasem wydawało mi się, że mój nos ma lepszą prasę ode mnie. Autor artykułu z „Time’a” napisał: „Ten nos to obiekt kultu”. (Nieźle brzmi!) I ciągnął: „Twarz, którą dzieli, jest pociągła i smutna, a zrelaksowana wygląda jak u basseta”. (To brzmi całkiem słabo).

Czyli w końcu jestem babilońską królową czy psem?

Może jednym i drugim (zależy, jak patrzeć).

Chciałabym powiedzieć, że to wszystko mnie nie obchodziło, ale to nieprawda. Nawet po tylu latach zniewagi nadal bołą i trudno mi uwierzyć w prawdziwość

pochwał. Myślę, że kiedy ktoś zyskuje sławę, staje się własnością publiczną. Jest obiektem do badania, fotografowania, analizowania, rozkładania na czynniki pierwsze... i w większości przypadków nie rozpoznaje osoby, którą odmalowują. Nigdy do tego nie przywykłam i staram się nie czytać nic z tego, co o mnie piszą.

Czasem jednak sięgam po czasopismo, na przykład w poczekalni u dentysty. (Tak się składa, że lubię chodzić do dentysty – uwielbiam to uczucie, kiedy zęby są dobrze wyczyszczone. Mam też wtedy godzinę spokoju i nie muszę odbierać telefonów). No więc czekam i widzę artykuł o Neilu Diamondzie, który był klasą wyżej w tej samej szkole co ja, Erasmus Hall High School na Brooklynie. Faktycznie tekst dotyczył jego brata, który wynalazł jakąś niedorzeczną wannę z zestawem stereo i całą gamą elektronicznych gadżetów (idealna... jeśli ktoś chce, żeby go prąd popieścił). Nie jest to tanie, o nie, czternaście tysięcy dolarów! Myślę sobie: „Kto kupuje coś takiego?”. A potem czytam, że jestem jedną z klientek! Nie wiedziałam nawet, że mój kumpel Neil ma brata, a teraz kupuję od niego wanny?!

Irytujące, ale inne historie ranią głębiej. Któregoś wieczoru mój serdeczny przyjaciel Andrzej Bartkowiak, genialny operator, z którym zrobiliśmy dwa filmy i jeden dokument, przyszedł do mnie na kolację. (To on gotował, ponieważ ja w kuchni stanowię zagrożenie dla otoczenia. Potrafię przypalić wodę).

Wcześniej Andrzej odwiedził znajomego (lekarza zresztą) i rzucił mimochodem, że wybiera się do mnie na kolację.

– Słyszałem, że to wredna suka.

– Co takiego? – spytał Andrzej. – O czym ty mówisz?

– Nie da się z nią pracować.

– Absurd. Pracowałeś z nią kiedyś?

– No nie.

– A ja, tak się składa, trzy razy. Współpraca z nią to prawdziwa przyjemność. Barbra jest przesympatyczna.

– Nie, wcale nie. To suka. Czytałem w gazecie.

Oto potęga słowa pisanego.

Nie było sposobu zmienić opinii tego człowieka. Wolał uwierzyć jakiemuś pismakowi, który nigdy nawet ze mną nie rozmawiał, niż komuś, kto mnie dobrze znał. Bardzo mnie to denerwuje. Czemu nie chciał zaakceptować prawdy?

Przez czterdzieści lat wydawcy napraszali się, żebym napisała autobiografię. Spławiałam ich, ponieważ wolę żyć chwilą obecną, zamiast rozgrzebywać przeszłość. A tak naprawdę boję się, że jeśli po sześciu dekadach, w których tworzono o mnie przeróżne historie, napiszę prawdę, nikt w nią nie uwierzy.

Niedawno wracaliśmy z Jimem, moim mężem, z planu filmowego do domu i zatrzymaliśmy się w supermarkecie, ponieważ nabrałam ochoty na lody kawowe. Weszliśmy do sklepu, trzymając się za ręce, a tu nagle jakiś mężczyzna za naszymi plecami wykrzyknął:

– Tak się cieszę, że znowu jesteście razem!

Znowu? Kiedy się rozstaliśmy? Mój mąż się wyprowadził, a ja nie zauważyłam?

Właśnie dlatego lubię fakty. Mam ogromny szacunek dla faktów, a pomyśl, że mogłabym parę rzeczy sprostować, nie wychodził mi z głowy.

Całą wieczność biłam się z myślami, aż w końcu uznałam, że tak, napiszę tę książkę. Właściwie pierwszy rozdział napisałam jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, ręcznie, ścieralnym długopisem... no i przepadł. Teraz żałuję, że nie umiem lepiej posługiwać się klawiaturą, ponieważ kiedy już znowu zaczęłam, zajęło mi to kolejne dziesięć lat, jednocześnie bowiem realizowałam inne zobowiązania, takie jak na przykład wydawanie płyt.

Poza tym, tak serio, to znudziłam się sama sobą. Próbowałam przywoływać w pamięci rzeczy, które zdarzyły się bardzo dawno temu. (Dzięki Bogu za dzienniki, które prowadziłam – okazały się bezcenne). Czasem przyłapywałam się na tym, że nie przypominam sobie całej historii i muszę pogrzebać głębiej, bez względu na to, do czego to doprowadzi...

Od dziecka chciałam zostać aktorką... pewnie od chwili, kiedy zabrali mnie po raz pierwszy do kina, a ja stałam na fotelu, żeby lepiej widzieć ekran. Nadal nie mogę wyjść ze zdumienia, że moje marzenie się spełniło, i jestem ogromnie wdzięczna wszystkim, którzy mi w tym pomogli.

Podobno sukces zmienia człowieka, ale moim zdaniem tak naprawdę sprawia, że stajesz się jeszcze bardziej tym, kim jesteś.

Szczerze mówiąc, uważam, że jestem dość przeciętna. Tak się złożyło, że urodziłam się z dobrym głosem, a potem chyba coś w moim wyglądzie, charakterze czy, jak zwał, tak zwał, talencie, zaintrygowało ludzi (albo ich zirytowało). Wiem, że zadaję mnóstwo pytań. Wyrażam wiele opinii i mówię, co myślę... i czasem miewam z tego powodu problemy.

Nie należę do bardzo towarzyskich osób. Nie lubię się ubierać i wychodzić. Wolę zostać w domu z mężem i psami. Czasem zaprosimy rodzinę i przyjaciół na kolację, film albo granie w Rummikuba, tryktraka czy kierki. (Wieczorami gram też na telefonie, po ciemku, zanim pójde spać, żeby oczyścić głowę ze stresów całego dnia). Uwielbiam malować z synem Jasonem (jest w tym o wiele lepszy ode mnie) i godzinami fotografować swój ogród... a ponieważ nie wychodzę zbyt często, zapominam, kim jestem dla świata zewnętrznego.

Co mi o czymś przypomina. Niedawno poszłam do dentysty (znów na czyszczenie zębów) i kiedy czekałam na windę, zauważyłam, że gapi się na mnie jakaś kobieta. Odeszłam więc na bok, ale gapiła się dalej. Pomyślałam: „Czemu się tak patrzy? Mam gdzieś plamę?”.

A potem przyszedł błysk zrozumienia. Ach tak, to sytuacja: „No, jak ona się nazywa?”.

Myślę, że przyszła pora rozwiąć legendy o potworze.

Właśnie dlatego piszę tę książkę – ponieważ czuję się zobowiązana wobec osób, które naprawdę interesują się moją pracą, procesem, który stoi za tą pracą, i, być może, osobą stojącą za tym procesem.

Zatem zaczynamy.





1

Pulaski Street

Jest jedna rzecz, z którą sobie nie radzę, a mianowicie: kłamstwo. Może dlatego, że okłamywano mnie, kiedy byłam mała.

Pewnego dnia, gdy miałam osiem lat, mama odwiedziła mnie na żydowskim obozie letnim w Catskills, gdzie wysłała mnie na kilka tygodni. Obóz mi się nie podobał. Podawali niedobre ziemniaki (zapewne z puszki), które smakowały jak plastik. Dyskretnie zsuwałam je z talerza i zrzucałam pod stół, aż na przeciwny koniec, żeby nikt nie wpadł na to, kto jest winowajcą. Z niecierpliwością czekałam jedynie na piątkowe wieczory, kiedy dostawaliśmy kawałek koszerne ciasta... biszkopt z polewą z ciemnej czekolady, jakiego od tamtej pory nie jadłam.

Byłam dzieckiem o silnym charakterze. Uczepiłam się mamy, gdy tylko przyjechała, i nie chciałam jej puścić, aż niechętnie zgodziła się, żebym wróciła z nią do domu. Szybko spakowałam ubrania, a wszystko, co mi nie pasowało – na przykład indiański strój i moje prace plastyczne – wetknęłam do jakiegoś kartonu. Potem poszłam do samochodu, a tam, za kierownicą, siedział mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Nie przypominam sobie, żeby odezwał się do mnie choćby jednym słowem podczas całej podróży powrotnej. Chyba był zły, że nie wraca tylko z mamą.

Mama nie powiedziała mi, że ten mężczyzna, Louis Kind, to mój nowy przyszły ojczym ani że ona sama nosi w brzuchu moją siostrę.

Przemilczenie także liczy się jako kłamstwo.

Nie udaliśmy się do jedynego domu, jaki znałam: mieszkania babci i dziadka przy Pulaski Street w Williamsburgu. Podjechaliśmy pod wysoki budynek z cegły (jeden z tych, które wszystkie wyglądały tak samo) przy Newkirk Avenue we

Flatbush – część wielkiego projektu budownictwa komunalnego, nazywanego Vanderveer Estates (bardzo wyszukana nazwa nie bardzo wyszukanego miejsca). Zajmowaliśmy mieszkanie 4G i pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie winda. Pomyślałam, że musieliśmy się wzbogacić. Czynsz wynosił sto pięć dolarów na miesiąc, dużo więcej niż czterdzieści dolarów na Pulaski Street.

Louis Kind nie nocował tam pierwszego dnia. Spałam w łóżku z mamą, jak zwykle, a rano, kiedy się obudziłam, zaczęło mi strzykać w uszach podczas przetykania.

Do dziś nie wiem, czy była to nowa, specjalna świadomość mojego wewnętrznego „ja”, czy przypadłość fizjologiczna. Ale wiem na pewno, że nagła życiowa zmiana wywołała u mnie wstrząs. Kim był ten mężczyzna? Kilkadziesiąt lat później spytałam w końcu mamę, dlaczego mnie nie posadziła i nie wyjaśniła mi, że zamierza wyjść za mąż i będzie miała dziecko.

– Bo nie spytałaś – odparła.

– Mamo, miałam osiem lat!



Nigdy nie poznałam swojego ojca. Nie zachowały się żadne fotografie, na których trzyma mnie, gdy jestem niemowlęciem. To wielkie rozczarowanie. Zawsze zastanawiałam się, jak to możliwe. Dlaczego mama nigdy nie zrobiła mi z nim zdjęcia?

A kiedy byłam starsza i zapytałam ją, czemu ani razu nie porozmawiała ze mną o ojcu, odpowiedziała:

– Nie chciałam, żebyś za nim tęskniła.

Nigdy nie zrozumiałam logiki mojej mamy.

Mój ojciec, Emanuel Streisand, był człowiekiem wyjątkowym, członkiem Phi Beta Kappa, absolwentem City College w Nowym Jorku, sportowcem i nauczycielem, który życie poświęcił edukacji. Opracował innowacyjny program nauczania języka angielskiego dla młodocianych przestępców w zakładzie poprawczym w Elmirze, gdzie był asystentem kuratora oświaty. Później uczył angielskiego w zawodowej szkole średniej na Brooklynie, a jednocześnie pracował nad doktoratem i brał udział w kursach na Cornell University, w Hunter College, a następnie Teachers College na Columbia University. Wychował się w ortodoksyjnym żydowskim domu, w którym po zachodzie słońca w piątek nie wolno było jeździć żadnym pojazdem. Szabat jest dniem odpoczynku. Zatem jeśli w piątek wieczorem musiał zostać do późna w Teachers College, wracał do domu na piechotę ze Sto Dwudziestej Zachodniej na Brooklyn.

Mój ojciec bardzo lubił dzieci. Żeby dorobić, latem 1943 roku zatrudnił się jako główny doradca w obozie w górach Catskills. Pewnego sierpniowego poranka

oprowadzał inspektora, panował okropny upał, nagle ojca strasznie rozboleła głowa. (W przeszłości miewał problemy z migrenami). Wieczorem dostał ataku padaczki. Moja mama z przyjaciółką próbowały go unieruchomić (nie wiedziały, że w ten sposób mogą mu zrobić większą krzywdę). Rano następnego dnia karetka zabrała go do małego lokalnego szpitala, gdzie lekarz podał mu zastrzyk z morfiną, po którym przestał oddychać.

Mama zawsze mówiła mnie i mojemu bratu Sheldonowi, że tata zmarł w wyniku wylewu krwi do mózgu, i przez wiele lat myśleliśmy, że mogła to być wada wrodzona. Nikt nie powiązał bólów głowy i padaczki z wcześniejszym wypadkiem samochodowym, w którym ojciec doznał obrażeń głowy. Wtedy nie było jeszcze rezonansu magnetycznego pozwalającego ocenić, co dzieje się w mózgu. Wiele lat później dotarłam do kopii jego aktu zgonu. Jako przyczynę śmierci podano niewydolność oddechową, wywołaną zapewne przez morfinę, której, jak się dowiedziałam, nie powinno się w takim przypadku stosować.

Mój ojciec miał zaledwie trzydzieści pięć lat. Nagle Diana Rosen Streisand w wieku trzydziestu czterech lat została wdową z dwójką małych dzieci. Shelly miał dziewięć lat, a ja piętnaście miesięcy. Wiele lat później matka powiedziała mi, że przez wiele miesięcy po śmierci ojca nadal wspinałam się na parapet i czekałam na powrót taty do domu. W pewnym sensie wciąż czekam.

Po śmierci ojca mamy nie było stać na nasze mieszkanie i wprowadziliśmy się do jej rodziców. Mój dziadek Louis Rosen i babcia Esther mieli małe mieszkanie z jedną sypialnią, w którym teraz musiało się pomieścić pięć osób. Spali w pokoju pierwotnie pełniącym funkcję salonu. My dostaliśmy sypialnię, ja dzieliłam łóżko z mamą, a Shelly zajmował połówkę obok nas. Była tam mała, zimna kuchnia, w której rzadko przebywałam, ale zapamiętałam zapach cynamonowych ciasteczek – babcia piekła je raz w roku na Chanukę. Czas spędzaliśmy głównie w jadalni, gdzie na środku królował prostokątny mahoniowy stół, pod jedną ścianą stał kredens, przy drugiej – sekretarzyk i staroświeckie drewniane radio. Nie mieliśmy telewizora. Siedzieliśmy i słuchaliśmy radia.

Właziłam pod stół i tam się bawiłam. Czułam się w tym miejscu bezpiecznie. Lubiłam kręcić metalową korbką, która rozsuwała blat. W najwcześniejszym wspomnieniu siedzę pod tym stołem – musiałam mieć około trzech lat – i słucham, jak mama rozmawia ze swoją siostrą. Rozumiałam, że mama mówi o jednej rzeczy, a jej siostra o innej. Wyczuwałam błąd w przepływie informacji, ale nie potrafiłam im o tym powiedzieć.

Myślę, że wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jak łatwo o nieporozumienia między ludźmi.

Lubiłam obserwować, być niewidoczna, ale śledzić to, co się dzieje wokół. Często zakradałam się pod stół, gdy zjawiali się absztyfikanci, by zabrać mamę na randkę. Nie chciałam, żeby wychodziła. Bałam się, że nigdy nie wróci. Zobaczyłam, jak jeden z nich, Saul, pocałował ją, i myślałam, że robi jej krzywdę, mimo że się śmiała. Pamiętam kolor jego zębów, brązowawy. Do dziś to pierwsza rzecz, na którą zwracam uwagę u mężczyzny, i jest to jeden z powodów, dla których wyszłam za Jima Brolina. Ma doskonałe zęby.

Myślę, że większość ludzi uważała, że jestem dziwna, z wyjątkiem dziadka. Kiedy miałam pięć lat, zabrał mnie do szulu (ortodoksyjnej synagogi) i siedziałam obok niego z innymi mężczyznami, chociaż miejsce kobiet było gdzie indziej. Nadszła za hebrajskim, ponieważ chodziłam do jesziwy, gdzie uczono nas czytać słowa, ale nie wiedziałam, co one oznaczają. Hebrajski czyta się od prawej do lewej (prawdopodobnie dlatego potrafię pisać wspak) i nadal czasami wygodniej mi czytać czasopisma od końca do początku (co sprawia wrażenie, jakbym czytała szybciej). Czułam się jak duża dziewczynka, kiedy tak siedziałam obok mężczyzn. (Może dlatego wiele lat później z taką łatwością mogłam wcielić się w Jentl).

Kochałam dziadka, chociaż kiedyś, gdy powiedziałam brzydkie słowo, umył mi zęby mydłem antybakteryjnym. Ale wiedziałam, że mnie kocha. Siadałam mu na kolanach i wycinałam włosy z uszu. Na tym polega prawdziwa bliskość.

Jego uczucie mnie uratowało. Z mojego punktu widzenia mężczyźni albo cię porzucali, albo byli dla ciebie podli. Ojczym odnosił się do mamy niegrzecznie. Ze szkoły odbierał mnie brat, ale dzieliła nas zbyt duża różnica wieku, nie chciał, żeby młodsza siostra za nim łąziła. Wujek Harry mnie przerażał. Wyjmował sztuczne zęby i wydawał odgłosy jak potwór. Dziadek dał mi przedsmak tego, jaki powinien być dobry mężczyzna.

Nie byłam łatwym dzieckiem. Nie chciałam jeść (w co trudno uwierzyć). Matka zawsze próbowała wmusić we mnie jedzenie. Podawała mi środki na wzmocnienie i tran z dorsza, pewna, że coś mi dolega. Poza tym do drugiego roku życia byłam właściwie łysa. Ale miałam mnóstwo energii. Raz udało mi się wspiąć na komodę, złapałam brzytwę dziadka i prawie odciąłem sobie dolną wargę, kiedy spróbowałam się ogolić tak jak on. Babcia chorowała na astmę i nie mogła mnie dogonić. Nazywała mnie *fabrent*, co w jidysz oznacza „ognista”. Po szkole więc, kiedy mama była jeszcze w pracy, opiekowała się mną sąsiadka, Tobey Borookow.

Uwielbiałam Tobey. Była miejscową „panią od robótek”. Siedziałyśmy razem, opowiadała mi ploteczki, trzymałam wyciągnięte ręce z nawiniętą włóczką, żeby mogła zwinąć motek. Nie miałam lalki, ale napełniałam butelkę ciepłą wodą i udawałam, że to lalka. Tobey wydzierała dla niej mały różowy sweter

i czapeczkę – może dlatego nadal uwielbiam róż – i przysięgam, ta butelka była lepszym dzieckiem niż jakaś zimna lalka.

Nawet teraz, kiedy widzę dzieci z lalkami, kuchenkami i tak dalej, mam ochotę się z nimi pobawić.

Uwielbiam kolor bordowy, zapewne dlatego, że Tobey zrobiła mi również bordowy sweter z drewnianymi guzikami. To była jedyna rzecz odróżniająca mnie od innych dzieci na pierwszym obozie, na który mnie wysłano, latem, kiedy skończyłam siedem lat. Był to obóz zdrowotny dla dzieci, a ponieważ cierpiałam na anemię, świeże powietrze miało mieć na mnie dobry wpływ. Ale ja przywykłam do gorącego, parnego powietrza na Brooklynie, gdzie wszyscy z braku klimatyzacji wychylali się przez okna. Wiejskie powietrze było tak świeże, że bolały mnie płuca (a przez te wszystkie drzewa nabawiłam się alergii, która później przeszła w astmę).

Nienawidziłam obozu zdrowotnego. Najpierw wykąпали mnie w środku dezynfekującym i wyczesali mi włosy na wypadek wszy. Następnie dostałam wykrochmalony niebieski lniany mundur z drapiącymi pumpami (zapewne dlatego do dziś nie lubię ciemnoniebieskiego). Tęskniłam za domem, a codziennie po południu, kiedy kładli nas na drzemkę, zbierało mi się na płacz. (Nie spałam w ciągu dnia, odkąd skończyłam trzy lata!) Jedno dziecko to zauważyło i zaczęło się ze mnie wyśmiewać.

– Nie płaczę. Mam tylko rozszerzone kanaliki łzowe.

O wiele szczęśliwsza i zdrowsza stałam się, gdy tylko wróciłam na Brooklyn (znowu mogłam oddychać!). Pamiętam, jak siedziałam na łóżku w mieszkaniu babci, ubrana w tę samą starą czerwoną flanelową koszulę. Ale czułam się inaczej. Czy byłam tą samą chudzińką, która wyjechała zaledwie kilka tygodni temu? Mama ogromnie się ucieszyła, że przybrałam na wadze kilogram czy dwa. Lubiłam patrzeć na swoje odbicie w samochodowych kołpakach, bo sprawiały, że wyglądałam grubiej.

W dzielnicy mieszkało mnóstwo dzieciaków. Bawiliśmy się na ulicach, uciekaliśmy za krawężnik, gdy nadjeżdżał samochód. Jedną z naszych ulubionych zabaw było piekło–niebo. Rzucano się kapslem od butelki w ponumerowane kwadraty narysowane kredą na asfalcie, a potem podskakiwało na jednej nodze, żeby podnieść kapsel. (To żydowska wersja gry w klasy).

W jeszowie na Brooklynie miałam dobre stopnie ze wszystkiego oprócz zachowania, z którego zawsze ładowałam z D. Byłam bardzo niecierpliwa i nigdy nie nauczyłam się dobrych manier.

Kiedy nauczycielka zadawała pytanie, podnosiłam rękę, a jeśli mnie nie wywołała, i tak wykrzykiwałam odpowiedź. Jakoś w okolicach Chanuki nauczycielka powiedziała nam, że nie powinniśmy wymawiać słów „Boże Narodzenie”

ani krzyżować palców. Nie miało to dla mnie większego sensu i gdy tylko wyszła z klasy, zaczęłam powtarzać w kółko: „Boże Narodzenie! Boże Narodzenie! Boże Narodzenie!”. I modliłam się do Boga, żeby mnie nie zabił na miejscu.

Miałam dwie najlepsze przyjaciółki. Jedną była Joanne Micelli, katoliczka, która chodziła do St. John's Academy. Uważałam katolików za fascynujących: zakonnice, księża, stroje. Na widok księdza mówiłam: „Dzień dobry, ojciec”, tak jak Joanne. Myślałam, że ma szczęście, bo ma prawdziwego ojca, a do tego mężczyznę o imieniu Ojciec, który także ją kocha. Wielkie wrażenie robiło na mnie piękno jej kościoła. W porównaniu z nim jesiwa była malutka.

Moją drugą najlepszą przyjaciółką była Roslyn Arenstein, ateistka, tak jak jej rodzice. Siadałyśmy we trzy u niej na schodach przeciwpożarowych (robiłyśmy sobie namiot z rozwieszonego na balustradzie starego wojskowego koca) i prowadziłyśmy bardzo poważne dyskusje filozoficzne. Któregoś dnia powiedziałam:

– Słuchaj, Roz, udowodnię ci, że Bóg istnieje.

Ulicą szedł mężczyzna.

– Widzisz tego człowieka? – Wskazałam go. – Pomodlę się, żeby zszedł z krawężnika.

Modliłam się żarliwie, z całej siły – i on naprawdę zszedł z krawężnika i przeszedł przez ulicę. W tym momencie do głowy przyszły mi dwie myśli. Pierwsza: „Ha, ale fart!”. I druga: „Bóg istnieje, a ja właśnie skłoniłam go modlitwą, żeby zrobił to, co chcę”.

Chyba właśnie wtedy zaczęłam wierzyć w siłę woli.

Zawsze miałam bardzo silną wolę. Kiedy zachorowałam na ospę wietrzną, mama położyła mnie do łóżka, ponieważ dostałam gorączki. Ale ja nie leżałam. Założyłam swój jaskrawozielony kapelusz i płaszcz, wyszłam przez okno (na szczęście mieszkaliśmy na parterze) i bawiłam się z innymi dziećmi, dopóki mama nie zawlekła mnie z powrotem do środka.

Często podpowiadałam mamie, co ma robić. Pamiętam, jak pewnego razu miała randkę (z rzeźnikiem) i zabrali mnie ze sobą na film Eddiego Cantora. Miałam jakieś sześć lat. Ponieważ w okolicy byłam znana jako dziewczynka bez ojca, nie chciałam, żeby ktoś zobaczył, że wychodzę z domu z obcym mężczyzną.

– Pójdę z wami – powiedziałam więc – ale pod warunkiem, że on pójdzie pierwszy i poczeka na nas za rogiem.

Pamiętam do dziś, jak za drzwiami spojrzałam w górę, by sprawdzić, czy ktoś z sąsiadów nie siedzi w oknie. I rzeczywiście, obserwowała nas Myrna, starsza dziewczynka, która się nade mną znęcała. Pomyślałam: „O nie. Założę się, że skojarzy mnie z tym facetem. Oby nie!”. Rozpowiedziałyby wszystkim dookoła.

Byłam też znana w okolicy jako dziewczynka z dobrym głosem. Lubiłam śpiewać na klatce schodowej naszej kamienicy. Sufit był wysoko, więc tworzyło się przyjemne echo, a ja uwielbiałam przesuwając dłonią po zimnej mosiężnej balustradzie. Czasami siadałam na schodku z innymi dziewczynkami i śpiewaliśmy piosenki z listy przebojów. Moja mama miała piękny, operowy głos, a jej ojciec, jak mi ktoś opowiedział, śpiewał w szulu, kiedy kantor zachorował.

Tobey miała syna, Irvinga. Ponieważ był chłopcem i moim przyjacielem, nazywałam go swoim chłopakiem, chociaż kiedyś wałnął mnie w głowę plastikowym karabinem. Bawiliśmy się razem w te popołudnia, kiedy Tobey się mną opiekowała. Mieli małe telewizor z wielkim szkłem powiększającym przed ekranem; uwielbialiśmy oglądać Flipa i Flapa. Ale gdy Irving słyszał, że jego ojciec wraca, odwracał się do mnie i mówił: „Przyszedł mój tata. Musisz już iść do domu”.

Czułam się zraniona i uczucie to nie opuszczało mnie przez lata.

Pan Borookow miał na imię Abe i do dziś pamiętam jego specyficzny zapach. Z pewnością nie była to woda po goleniu.

Zastanawiam się, czy ludzie, którzy mają ojców, wiedzą, ile mają szczęścia. Mój brat przez całe dziewięć pierwszych lat życia cieszył się miłością i troskliwością ojca. Ojca, który zabierał go do muzeum, księgarni, na parady. Nasz tata czytał mu książki i kupił radio. Nauczył Shelly’ego rysować i malować, co odegrało ważną rolę w jego życiu.

Każde dziecko potrzebuje, żeby ktoś je kochał, rozwijał w nim poczucie własnej wartości, dostrzegał je i traktował poważnie, utwierdzał w przeświadczeniu, że jego uczucia się liczą.

Teraz nagle zyskałam ojczyzna, który odnosił się z niechęcią do mnie i mojego brata. Lou Kind miał już trójkę dzieci, nie mieszkał z nimi i wątpię, by chciał mieć ich więcej. Kiedy pojawił się w naszym życiu, wszystko się zmieniło. W nowym mieszkaniu spałam na sofie w korytarzu. Mój brat zajął mały pokój. A mama dzieliła z tym dziwnym mężczyzną dużą sypialnię.

Potem pojawiła się moja młodsza siostra Roslyn. Kiedy dowiedziałam się, że dzieci rodzą się po dziewięciu miesiącach, odliczyłam dziewięć miesięcy wstecz od narodzin siostry i próbowałam nakłonić matkę, by przyznała się, co zrobiła tamtego dnia. Słyszałam o seksie (starsza dziewczyna uświadomiła mnie na klatce schodowej w szkole), ale nie potrafiłam w to uwierzyć. A moja mama nie skorzystała z okazji, żeby mnie oświecić.

Pokochałam młodszą siostrę od pierwszej chwili. Była taka śliczna, miała jasne kręcone włosy i zielone oczy. Mogłam się w nią wpatrywać godzinami, fascynował mnie każdy jej ruch, każde mrugnięcie powieką. Żywa lalka!

Ojczyrna nienawidziłam. Nie podobało mi się, że źle traktuje mamę. I nigdy ze mną nie rozmawiał. Pamiętam jazdę jego Pontiakiem ze ściętym tyłem; obserwowałam, jak zapala papierosa. Pall Malla. Lubiłam zapach płonącej zapałki. A potem wypuszczał idealną smugę dymu.

Pewnego dnia zabraliśmy na przejażdżkę Roz Arenstein. Obie siedziałyśmy z tyłu, a ja jak zwykle gadałam. Ojczym odwrócił się gwałtownie.

– Dlaczego nie możesz być cicho, jak twoja koleżanka?! – spytał.

Niedługo potem mama wspomniała, że Lou nie widzi kolorów.

Dlatego kiedy następnym razem wsiedliśmy do samochodu, martwiłam się... Bałam się, że nie będzie w stanie odróżnić światła czerwonego od zielonego. Informowałam go więc subtelnie, jaki kolor widnieje na sygnalizatorze.

– Jakie ładne jest to CZERWONE światło!

Nic dziwnego, że mnie nienawidził.

Lou nie pytał, co u mnie słyszać ani jak mi idzie w szkole. Nie dostrzegał mnie. Nie interesowałam go. Nigdy nie udało mi się zdobyć jego aprobaty, uczucia, bez względu na to, co robiłam. Pewnego dnia postanowiłam zawalczyć o jego sympatię. Kiedy wrócił z komisji, nazwałam go „tata”, a nie Lou, chociaż z trudem przeszło mi to przez gardło. Przygotowałam mu kapcie, a gdy usiadł przed telewizorem, żeby obejrzeć zapasy, czołgałam się na brzuchu, żeby mu nie zasłaniać. Ale to nie zadziałało. Nie zaczął traktować mnie lepiej.

Myślę, że właśnie wtedy podświadomie postanowiłam, że nigdy nie będę się poniżać przed żadnym mężczyzną.

Kolejną dużą zmianą w moim życiu była nowa szkoła. Po trzech latach w jejsziwie na Brooklynie miałam zacząć czwartą klasę w szkole publicznej numer 89. Jedyny raz w placówce publicznej byłam wtedy, kiedy jejsziwa organizowała jakiś program i wynajęła aulę w szkole numer 25, ponieważ u siebie nie mieliśmy sceny. To tam zrobiono mi pierwsze zdjęcie, na którym śpiewam, z zamkniętymi oczami, głową odchyloną do tyłu – nic się od tamtej pory nie zmieniło.

Pamiętam, jak bardzo bałam się, że pielęgniarka z osiemdziesiątej dziewiętej, która badała każde dziecko, w jakiś sposób „dostrzeże” moje strzykanie w uszach i nie pozwoli mi chodzić do szkoły. Czułam się jak kosmitka.

Już i tak byłam inna: dziwna, zbyt chuda – a mama ubierała mnie w ciuchy o trzy rozmiary za duże, co wcale nie pomagało. Kupowała mi sukienki w dziale dziecięcym, robiła trzy duże zaszewki, a potem co roku jedną odpruwała. Chodziłam więc w tych samych ubraniach przez całe wieki.

W pewnym sensie byłam dzikim dzieckiem, zwierzątkiem, ponieważ całkowicie brakowało mi ogłady. Pamiętam moją koleżankę Maxine Edelstein, która

mieszkała na tym samym piętrze. Codziennie wieczorem o osiemnastej cała jej rodzina zbierała się przy stole i jadła kolację. Pewnego razu zaprosili mnie do siebie – panowała tam taka pełna życzliwości atmosfera. Moja rodzina rzadko jadła razem posiłki. Nie wiedziałam nic na temat serwetek na kolanach. Zwykle siadałam na podwiniętej nodze. Albo jadłam na stojąco prosto z garnka w małej, wąskiej kuchni. Kiedy brat wracał do domu, robił tak samo.

Nie obowiązywała mnie żadna dyscyplina. Nie było rutyny ani zasad. Mama nigdy nie mówiła mi, że mam być w domu o osiemnastej, albo którejkolwiek. Pamiętam, jak wykradałam papierosy ojczymowi, paliłam je przed lustrem i udawałam, że gram w reklamie Pall Malli. Gdy miałam dziesięć lat, wymykałam się na dach, żeby zapalić, w wieku dwunastu lat rzuciłam palenie. Musiałam nauczyć palić własną matkę.

– Śmiesznie wyglądasz – powiedziałam jej. – Trzymaj papierosa w ten sposób.

Jakimś cudem przekonałam mamę, żeby pozwoliła mi chodzić do pobliskiej szkoły tańca panny March, ponieważ chciałam zostać baletnicą. Kupiłam różowe satynowe baletki i przyszyłam do nich różowe satynowe wstążki. Codziennie po szkole wkładałam je i chodziłam po mieszkaniu. Za buty zapłaciłam sama, pieniędzmi, które zarobiłam, odprowadzając ludzi na ich miejsca w chińskiej restauracji U Choya. Realizowałam też zamówienia na wynos. „Si pic qvot”, małe żeberka. „Som teu”, trzy sajgonki. Uwielbiałam melodyjność języka chińskiego. Wypowiedziane innym tonem słowo oznaczało coś innego.

Muriel Choy została moją drugą zastępczą mamą. Pierwszą była Tobey.

Uwielbiałam Muriel. Mogłam jej zadać każde pytanie, a ona wyjaśniała mi różne rzeczy, o których moja mama nigdy nie wspominała, jak seks i gotowanie. Wciąż czuję smak jej przepysznej lap cheong (chińskiej kielbasy), kapusty pekińskiej i kurczaka gotowanego na parze, nadal szukam tłustych, chrupiących sajgonek, które podawali w restauracji i których już prawie nikt nie robi. (Kilka lat temu w końcu znaleźliśmy w Los Angeles miejsce, gdzie takie sprzedają. Jemy czasami z Jimem po trzy naraz).

Opiekowałam się też dziećmi Muriel, kiedy ona pracowała z mężem w restauracji. Pewnego wieczoru, gdy miałam jedenaście lat, zesłam z ich piętra i dzwoniłam do naszych drzwi przez jakieś dziesięć czy piętnaście minut. Nikt mi nie otwierał, chociaż wiedziałam, że mama i Lou są w domu. Wróciłam do Muriel po zapasowy klucz, otworzyłam sobie, przeszłam przez pokój dzienny i stanęłam w drzwiach do ich sypialni. Leżeli spleceni razem i nie zwrócili na mnie uwagi, jakbym była niewidzialna. Wycofałam się w szoku i nigdy im o tym nie wspomniałam.

Później przysięgałam sobie, że już więcej nie będę niewidzialna.

Są w dzieciństwie chwile, które wpływają na to, kim się staniesz. Kształtują twoje życie na zawsze.

Nie mogłam polegać na mojej mamie. Pamiętam jedną konkretną scenę, kiedy miałam może z siedem lat. Zabrała mnie do kina i szliśmy ulicą, a ona uśmiechała się do siebie... często się do siebie uśmiechała.

Nagle przystanęła.

– Co się stało, mamó? – spytałam.

– Nie idziemy. Zmieniłam zdanie – odparła.

Byłam bardzo rozczarowana i do dziś rozpaczliwie pragnę, żeby ludzie dotrzymywali słowa. To ważne, by robić to, co się obiecało. Jest to jedna z czterech umów w książce pod tym samym tytułem autorstwa Don Miguela Ruiza: „Szanuj swoje słowo”.

Nie mogłam zwierzyć się mamie z niczego, nawet z tych odgłosów w uszach. Tamtej pierwszej nocy, kiedy powiedziałam jej o strzykaniu, dała mi termofor do łóżka i nigdy więcej o to nie spytała. Ale dźwięki nie zniknęły i pewnego ranka, gdy byłam w szóstej klasie, obudziłam się z nowym objawem. Wszystkie te „pingi” i „pongi” wybuchały w mojej głowie jak muzyczne fajerwerki. Naprawdę się przerażałam. Potem „pingi” przeszły w wysokie dzwonienie. Bałam się tak okropnie, że nikomu o tym nie powiedziałam. Zawiązałam wokół głowy szalik w nadziei, że to wyciszy odgłosy, ale miałam wrażenie, że tylko się nasiliły. Nic nie pomagało.

Nie poszłam wtedy do lekarza. Wiele lat później dowiedziałam się, że takie dzwonienie nazywa się szumami usznymi i ma to coś wspólnego z połączeniem między uchem wewnętrznym a mózgiem. Przez lata badali mnie różni lekarze, ale nie potrafili nic na to poradzić, ponieważ teoretycznie nie było tam nic do wyleczenia. Nieznana jest przyczyna szumów usznych i nie ma na nie lekarstwa. To zagadkowa przypadłość.

Pewien guru powiedział mi kiedyś:

– To coś wyjątkowego. Jesteś na innym poziomie, na zupełnie innej płaszczyźnie i słyszysz dźwięk wszechświata.

– Nie sądzę – odparłam.

Ilekoć ktoś mówi do mnie: „Jestem taki jak ty”, kusi mnie, żeby odpowiedzieć pytaniem: „A dzwoni ci przez cały czas w uszach?”. To może doprowadzić do szału. Kiedyś bywałam przez to bardzo marudna, ale nauczyłam się z tym żyć. Pewnie jest to jeden z powodów, dla których muszę cały czas być zajęta. Muszę oderwać od tego myśli, próbować odwrócić uwagę od dzwonienia.

Tęsknię za ciszą.

Dźwięki w uszach to był mój straszny sekret, który zachowywałam dla siebie i z którym próbowałam się uporać na własną rękę. Od mamy nie oczekiwałam już pomocy.

Pewnego dnia, gdy miałam dwanaście lat, narieczona mojego brata, Ellen, przysłała do nas, żeby się poznać z rodziną. Był to jeden z tych niewielu przypadków, kiedy mieliśmy gościa. Rozzie chciała lody na deser, więc Lou dał Shelly'emu pieniądze i polecił, żeby kupił dla wszystkich. Zaraz jednak spojrzał na mnie i powiedział:

– Dla niej nie bierz.

A potem dodał coś, co zraniło moje uczucia. Nie potrafiłam sobie przypomnieć dokładnie tych słów, więc po latach zapytałam o nie Ellen.

– To było niewiarygodnie okrutne. Powiedział, że jesteś brzydka.

Musiałam to wyprzeć. Zapamiętałam jedynie, że poczułam się okropnie, a mama nic nie powiedziała, tylko dalej sprzątała ze stołu. Poszłam do małego pokoju (który odziedziczyłam po wyprowadzce Shelly'ego), położyłam się na łóżku i doświadczyłam wyjścia z ciała – uleciałam pod sufit i patrzyłam z góry na siebie leżącą w odrętwieniu.

Myślałam: „Dlaczego świadomie mnie rani? Naprawdę jestem taka beznaziejna?”.

Żyłam głównie we własnym świecie. Po przeczytaniu broszury o dziewięciu objawach raka uznałam, że mam wszystkie. Ale nigdy nie rozmawiałam o swoich lękach z mamą. Kiedy dopadło mnie przeziębienie, powiedziała tylko:

– To twoja wina. Wyszłaś bez swetra.

Potem zrobiła mi okład gorczycowy (gorąca woda zmieszana z musztardą w proszku Colmana między dwoma kawałkami podartego prześcieradła). Gdy bolało mnie gardło, owijała mi wokół szyi grubą skarpetę, jak kołnierz, i spinała ją agrafką.

– A co, jeśli agrafka się otworzy? – zapytałam.

– Wtedy naprawdę będzie cię bolało gardło!

Mama opiekowała się mną najlepiej, jak potrafiła, ale nie była troskliwa jak matki w filmach. Pamiętam swoje przerażenie, kiedy obudziłam się po wycięciu migdałków; miałam sześć lat, a ona nie siedziała przy łóżku. Ostatnią rzeczą, jaką widziałam, było opadające mi na twarz to wielkie gumowe coś, przez które podawano eter. Czułam się, jakbym wpadała do czarnej dziury. W głowie wirowały mi kręgi, którym towarzyszył dziwny, dudniący dźwięk brzmiący jak wiertło. Zasnęłam, słysząc stłumiony głos lekarza.

Kiedy otworzyłam oczy, zastanawiałam się, czy nadal jestem na tym świecie. Leżałam sama. Mamy nie było, chociaż obiecała. Okazało się, że spacerowała po szpitalu, prawdopodobnie zdenerwowana. Nie rozumiała, jak ważna jest jej fizyczna obecność w takich chwilach.

Dusiłam więc wszystko w sobie, zwłaszcza lęki. Pewnego razu, gdy miałam jakieś dziewięć lat, poczułam w klatce piersiowej ciężar, który nie chciał ustąpić. Na parterze jednego z budynków na osiedlu znajdował się gabinet lekarski – i w końcu zebrałam się na odwagę. Zajęło mi jakiś tydzień, żeby zadzwonić do drzwi. Lekarza nie było. Ale nie uwierzycie! Sam fakt, że odważyłam się pójść do doktora na własną rękę, usunął wszelkie objawy. Innymi słowy, uczucie ciężkości zniknęło.

To była moja pierwsza choroba psychosomatyczna.

Tłamszenie tych wszystkich emocji nie mogło być zdrowe. A ja nie potrafiłam być po prostu zadowolona z życia. Pamiętam, że pomyślałam: „Tak nie może być”.

Mniej więcej w tym samym czasie dziewczyny z sąsiedztwa otoczyły mnie przed domem. Wyśmiewały się ze mnie. Czy chodziło o to, jak byłam ubrana? (Miałam na głowie chustę). Co zrobiłam, że się rozzłościły?

Pobiegłam z płaczem na górę, po Shelly'ego, żeby stanął w mojej obronie. Nie chciał ze mną zejść.

– Sama walczyć o swoje – powiedział.

Byłam pewna, że tata by mi pomógł, ale uświadomiłam sobie, że teraz nikt mnie nie ochroni. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że wtedy zaczęłam budować wokół siebie mur, tarczę, która miała mnie bronić.

Wiele lat później zrozumiałam, że gdy tata umarł, nie straciłam tylko jego. Mama też mnie opuściła, emocjonalnie. Nie mogę jej za to winić. Nagle została wdową z dwójką małych dzieci. Zapytałam ją kiedyś, kiedy byłam już dorosła, dlaczego nigdy mnie nie przytuliła, nie okazała mi uczuć ani nie mówiła, że mnie kocha.

– Nie miałam czasu – odpowiedziała. – Poza tym moi rodzice nigdy mi tego nie mówili, a ja wiedziałam, że mnie kochają.

Po prostu założyła, że wiem, co ona czuje. Ale ja nie miałam pojęcia.

Kolejny punkt w *Czterech umowach* Ruiza to: „Nigdy nie rób żadnych założeń”.